



# DEMON COPPERHEAD BARBARA KINGSOLVER

Przełożyła Kaja Gucio

NAGRODA  
PULITZERA  
2023

FILM



„Kingsolver zręcznie łączy powieść przygodową z oskarżeniem i przenikliwą diagnozą współczesnej Ameryki uzależnionej od leków. A w tle mamy Dickensa, który też przecież portretował nędzę swoich czasów. Demon ma „gadane”, co wydobywa błyskotliwy przekład Kai Gucio. Śmiech łączy się z grozą, a powieść do końca trzyma za gardło. Warto było zarwać noc”.

Justyna Sobolewska

„Kingsolver umiejętnie gra z Dickensem, opisując świat bezwzględny i pełen rozczarowań, a zarazem – paradoksalnie lub nie – daje nadzieję. A jej bohater, współczesny Copperfield, zaprzyjaźnia się z czytelnikiem i budzi nawet te najgłębiej uspięne w nim pokłady empatii”.

Michał Nogaś

„David Copperfield rodem z Appalachów... *Demon Copperhead* na nowo opowiada stworzoną przez Dickensa historię, tym razem osadzoną na współczesnej amerykańskiej prowincji, borykającej się z biedą i uzależnieniem od opioidów. Kingsolver i Dickensa łączy wiele podobieństw: oboje piszą żywiołowe powieści społeczne z silnym przesłaniem politycznym i troską o niższe klasy... Książka Kingsolver wciąga równie mocno, jak jej pierwowzór”.

„New York Times”

„To może być najlepsza powieść 2022 roku... W równym stopniu zabawna i chwytająca za serce, to historia niepokornego chłopca, którego nikt nie chce, ale którego czytelnicy pokochają... Przypomina on innego sierotę, który przemyka przez zarośla, starając się unikać kłopotów: Hucka Finna. W postaci Demona Kingsolver stworzyła wyrzutka na równi przypominającego arcydzieło Twaina, posługującego się naturalną poetyką amerykańskich kolokwializmów... W dorobku Kingsolver to najlepszy jak dotąd dowód na to, że powieść może jednocześnie bawić, wzruszać i nawoływać do reform”.

Ron Charles, „Washington Post”

„Niewiele może się równać z zagłębieniem się w powieść Kingsolver...  
Demon [to] najodważniejsze i najbardziej ambitne dzieło autorki”.

„Los Angeles Times”

„Obszerna, pomysłowa, poruszająca i zabawna opowieść Kingsolver  
o przetrwaniu to wirtuozerska współczesna wariacja na temat  
Dickensowskiego *Davida Copperfielda*... Dzieło Kingsolver to pełna  
zwrotów akcji, wciągająca opowieść o głębokim wymiarze i istotnym  
wydźwięku”.

Booklist

„Książka o elektryzującej mocy... Każde zdanie tutaj iskrzy”.

„Daily Mail”

„[Autorka] zamierza nas uratować, opowiadając nam rozmaite historie...  
Udaje jej się to lepiej niż jakiegokolwiek innej znanej mi osobie”.

Ann Patchett

„To narracja w najlepszym wydaniu. Głos brzmi autentycznie, podobnie  
jak poszczególne wydarzenia”.

Stephen King

„Nadzwyczajna powieść”.

Oprah Winfrey



**DEMON  
COPPERHEAD**

**BARBARA  
KINGSOLVER**

Przełożyła Kaja Gucio

**FILIA**



*Dla tych, co przetrwali*





Nie warto wspominać przeszłości,  
chyba o tyle, o ile to ma wpływ na teraźniejszość.

Charles Dickens, *David Copperfield*



# 1

Najsampierw wziąłem i się urodziłem. Na miejscu zebrało się akurat sporo gapiów i potem zawsze mi powtarzali, że co jak co, ale to ja odwalilem najgorszą robotę, bo moja matka, jakby to powiedzieć, nie bardzo jarzyła, co się dzieje.

Ludzie zazwyczaj widywali ją przed przyczepą, w której mieszkała, i zawsze coś jej tam przygadali, jak na dobrych sąsiadów przystało, żeby się dziewczucha nie wpakowała w kłopoty. Pod koniec lata i jesienią, kiedy tylko człowiek spojrzeł, ta nieduża tleniona blondyneczka opierała się o poręcz i paliła pall malla jak kapitan statku, ale teraz chyba łajba poszła na dno. Mowa tu o osiemnastolatce, zdanej wyłącznie na siebie i w ciąży. Pewnego dnia się nie pojawiła, a Nance Peggot najpierw długo dobijała się do drzwi, a potem wpadła do środka i znalazła ją nieprzytomną na podłodze w łazience, całą w syfie, z instrumentem na wierzchu i ze mną już prawie na zewnątrz. Leżałem sobie na linoleum, obklejony śmieciami, wijąc się i rzucając, bo wciąż tkwiłem w tym worku, w którym pływają dzieci przed prawdziwym życiem.

Pan Peggot czekał w ciężarówce na jałowym biegu, bo właśnie mieli jechać na wieczorne nabożeństwo, i myślał sobie pewnie, że w życiu nic, tylko ciągle czeka na jakąś kobietę. Żona oznajmiła mu wcześniej, że jesusowanie może chwilę poczekać, bo ona najpierw musi sprawdzić, czy ta mała w ciąży znowu się nawaliła. Pani Peggot nie miała bowiem w zwyczaju owijać w bawełnę i w razie potrzeby gotowa była nakazać samemu Chrystusowi Panu, żeby siedział cicho i nie podskakiwał. Wróciła, wrzeszcząc na męża, żeby dzwonił po pogotowie, bo biedne dzieciątko w łazience próbuje utorować sobie pięściami drogę z worka.

Jak mały siny zawodnik w czasie walki. Takich słów użyła później, kiedy bez krępacji opowiadała o najgorszym dniu w życiu mojej mamy. A skoro tak wyglądałem w oczach pierwszej osoby, która mnie zobaczyła, to niech i tak będzie. Dla mnie oznacza to, że miałem szanse w tej walce. Tak, wiem, bardzo małe szanse. Jeśli matka leży we własnych szczytach, wśród butelek po tabletkach, podczas gdy tamci klepią dzieciaka, którego właśnie wypchnęła, i każą mu wyglądać na żywego, to skubaniec raczej nie ma na co liczyć. Dziecko urodzone przez ćpunkę też będzie ćpunem. Jak dorośnie, to zostanie tym wszystkim, od czego człowiek wolałby trzymać się z daleka, jak popsute zęby i martwe oczy, jak uciążliwa konieczność zamykania narzędzi w garażu, żeby sobie same gdzieś nie poszły, jak wynajmowany na tygodnie pokój w motelu przycupniętym daleko od malowniczej autostrady. Jeśli ten dzieciak chciał mieć szanse na coś lepszego, to powinien był zadbać, żeby urodziła go jakaś bogata, mądra albo chrześcijańska matka, taka, co nie ćpa ani nie chleje. Każdy wam to powie, że na tym świecie jesteśmy naznaczeni od samego początku, na wygranych albo przegranych.

Ja jednak od urodzenia miałem słabość do superbohaterów i ratunku z ich rąk. Czy ten zawód w ogóle istniał w naszym przyczepowym uniwersum? Czyżby wszyscy superbohaterowie porzucili Smallville i wyruszyli szukać większej akcji? Ratuj albo daj się uratować, oto są pytania. Chce się myśleć, że to jeszcze nie koniec, aż do ostatniej strony.

To było w środę, podobno najgorszy dzień na urodziny. Kto się rodzi w środę, ten se pluje w brodę, czy jak to leciało. Dodajmy do tego, że przyszedłem na świat wciąż zapięty na suwak w płodowym worku. Ale. Zdaniem pani Peggot coś to jednak daje, jak człowiek się rodzi taki zapakowany: to obietnica od Boga, że nigdy nie utonie. Konkretnie taka. Może przedawkować albo zostać przygwożdżony kierownicą do fotela i usmażony, albo w ogóle strzelić sobie w łeb, ale w jednym miejscu na pewno nie wyzioniesz ducha, a mianowicie pod wodą. Dziękuję ci, Jezusie.

## *Demon Copperhead*

Nie wiem, czy to w ogóle jest jakoś powiązane, ale zawsze ciągnęło mnie do oceanu. Dzieci zwykle fiksują się na punkcie nazwy każdej marki i modelu dinozaura, czy co tam. Ja tak miałem z wielorybami i rekinami. Nawet teraz pewnie myślę o wodzie więcej niż normalny człowiek, o unoszeniu się w niej, o jej niebieskim kolorze i o tym, że dla ryb ten kolor to całe życie. Powietrze, hałas, ludzie i nasz szalenie ważny, rozgorączkowany bezsens to tylko drobne uciążliwości.

Prawdziwego oceanu nie widziałem, tylko zdjęcia i ten hipnotyzujący wygaszacz ekranu z morskimi falami na bibliotecznym komputerze. Cóż zatem mogę wiedzieć o oceanie, wciąż nie stanąwszy na jego piaszczystej brodzie i nie spojrzawszy mu w oczy? Ciągle czekam na spotkanie z tą jedną wielką rzeczą, o której wiem, że nie pochłonie mnie żywcem.

W samym sercu hrabstwa Lee, między obozowiskiem górniczym Ruelynn a osadą, którą ludzie nazywają Prawa Bida, na szczycie szosy łączącej dwie strome góry, stała nasza przyczepa. Godzinami włóczyłem się po tych lasach razem z chłopakiem, na którego wołali Maggot, brodziłem w potoku, przewracałem wielkie głazy i byłem potężny. Różne miałem opcje do wyboru, ale zdecydowanie wołałem bohaterów Marvela niż DC, a już najbardziej Wolverine'a. Maggot z kolei zwykle wybierał Storm, która była dziewczyną. (Ma niesamowite moce i jest mutantką, no ale jednak). Maggot nie dlatego, że to znaczy „robal”, po prostu taki skrót od Matt Peggot – a ta rozwrzeszczana damulka z mojej imprezy urodzinowej to oczywiście jego babcia. To dzięki niej przez pewien czas byliśmy z Maggotem małymi dzikusami z sąsiedztwa, ale najpierw on musiał się urodzić, nieco mnie wyprzedzając, a dodatkowo zostać jej wciśnięty, bo jego mama wybrała się na dłuższy urlop do więzienia dla kobiet w Goochland. Mamy tu już dość wątków, by spierdzielić więcej niż jedno młode życie, a to dopiero początek.

Miejsce, gdzie mieszkaliśmy, słynęło z tego, że roiło się tam od miedziogłowców. Ludzie myślą, że wiedzą dużo rzeczy. Oto co ja wiem. Całymi latami wspinałem się po skałach wszędzie tam, gdzie lubią się wylegiwać węże, ale nie widziałem ani jednego miedziogłowca. Węże, owszem, przez cały czas. Tylko że istnieją różne rodzaje. Na przykład

pospolity, nakrapiany zaskroniec, co na niego wołają „wąż wodny”, który łatwo się wkurza i szybko atakuje, jeśli popełnisz błąd, ale już bardziej boli, kiedy cię pies ugryzie albo pszczoła użądli. Ale jak dorwie cię wąż wodny, to drzesz japę i wrzeszczysz każde jedno przekleństwo, jakie telepie się po twojej małej czaszce. Potem wycierasz krew, bierzesz kij i dalej jesteś Adaptoidem i miotasz się po omszałym pniu wszelkiego zła. Natomiast jeśli dopadnie cię miedziogłowiec, to możesz się pożegnać z planami na ten dzień i być może z daną częścią ręki czy stopy, koniec i kropka. Dlatego to bardzo ważne, żeby wiedzieć, na co patrzysz.

Jeśli ci zależy, to nauczysz się odróżniać jedno od drugiego. Każdy odróżni owczarka od beagle’a albo whoppera od big maca. Znaczy się, psy są ważne i hamburgery są ważne, ale co wąż, to jednak, kurna, wąż. W naszej dziurze było pełno miedziogłowców, tak mówiły kasjerki w spożywczaaku, gdy tylko zobaczyły nasz adres na kopercie z kartkami żywnościowymi mamy. Tak mówił kierowca szkolnego autobusu, dzień w dzień zatraskując za mną drzwi, jakby je zamykał na ich ostrych węzowych pyskach. Ludzie uwielbiają wierzyć w zagrożenie, o ile to tobie coś grozi, a oni mogą powiedzieć, że bardzo ci współczują.

Wiele lat upłynęło, zanim dotarłem do sedna tego całego współczucia, i nie chodziło wyłącznie o węże. Jedną ze „złych decyzji” mamy, jak nauczyła się o tym mówić na odwyku, a wiercie mi, że było ich wiele, okazał się facet, na którego wołali Copperhead. Znaczy się – Miedziogłowiec. Podobno miał ciemną skórę i jasnozielone oczy, jak to melungeon, a do tego rude włosy, więc ciężko go było nie zauważyć. Te włosy nosił długie, a błyszczały dosłownie jak miedziaki, tak mówiła moja matka, której ewidentnie odbiło na jego punkcie. Na prawym ramieniu miał tatuaż węża, w miejscu, gdzie dwa razy został ukąszony: po raz pierwszy w kościele, kiedy jako dzieciak próbował udowodnić męskość w rodzinnym gronie wężowników. I drugi raz, później, z dala od oczu Boga. Mama mówiła, że nie potrzebował tatuażu na pamiątkę, bo ta ręka do końca mu dokuczała. Umarł w lecie przed moimi narodzinami. Porąbane okoliczności mojego przyjścia na świat zaskoczyły ludzi na tyle, że poczuli się w obowiązku wezwać karetkę, a potem

## *Demon Copperhead*

pomoc społeczną. No ale. Wątpię, by kogokolwiek zdziwiło, że mam takie oczy i takie włosy. Równie dobrze mogłem się urodzić od razu wydziarany.

Mama miała własną wersję dnia moich narodzin, w którą nigdy nie wierzyłem, mając w pamięci, że całkiem urwał jej się film. Nie żebym sam nadawał się na świadka, bo nie dość, że noworodek, to jeszcze w worku. Ale znałem relację pani Peggot. A wystarczy spędzić choć jeden dzień w towarzystwie ich obu, żeby się zorientować, który z tych dwóch kuponów warto obstawiać.

Mama tak to opowiadała. W dniu moich narodzin niespodziewanie pojawiła się matka mojego taty. Mama jej wcześniej nigdy nie widziała na oczy ani też nie miała ochoty oglądać, zważywszy na to, co słyszała o tej rodzinie.

Powiedzieć, że to banda baptystów z węzami, to nic nie powiedzieć. Mówiło się, że ciągle się tam nawzajem bili, mężowie tłukli żony pasem, matki lały dzieci wszystkim, co wpadło im w ręce, w tym Pismem Świętym, jeśli się akurat nawinęło. Uwierzyłem mamie na słowo, ponieważ słyszy się o takich rzeczach, że ludzie na tyle pobożni, by rozdawać sobie węże, często rozdają sobie także lajpa. Jeśli to dla was nowość, pewnie myślicie też, że suche hrabstwo oznacza miejsce, gdzie serio nie kupisz żadnego alkoholu. Południowo-zachodnia Wirginia, nie ma to tamto.

Podobno zanim ta pani się zjawiła, mama miała już dość silne bóle. Akcja porodowa dopadła ją tego dnia ni stąd, ni zowąd. Chciała sobie nieco ulżyć, więc przed południem wybombiła sporo ginu, do tego zarzuciła parę pigułek, żeby nie zasnąć i móc pić dalej, a na koniec trochę vicodinu, żeby się nie przemęczać. W pewnej chwili podnosi wzrok, a tam jakaś obca baba przyciska twarz do szyby w łazience tak mocno, że jej usta wyglądają jak szpara w dupie. (Mama tak to ujęła, ale nie musicie sobie tego wyobrażać). Kobieta wpada przez drzwi, a potem drze się na mamę, pomstuje na nią i ją przeklina. Co ona robi najlepszego tej niewinnej owieczce, którą Bóg Wszechmogący umieścił w jej łonie? Przyszła więc po jedyne dziecko swojego zmarłego syna, żeby je wyrwać z tej jaskini występku i przyzwoicie wychować.

Mama zawsze przysięgała, że ledwo udało mi się uniknąć takiego losu: mało brakowało, a wylądowałbym wśród nawiedzonych dzikusów z Wydupia w stanie Tennessee. Tę nazwę to akurat sam dodałem. Mama nie chciała w ogóle rozmawiać o rodzinie mojego ojca ani nawet o tym, co go zabiło. Powiedziała tylko, że był to nieszczęśliwy wypadek w miejscu, do którego nie wolno mi było chodzić, zwanym Diabelską Wanną. Jak ktoś próbuje uchronić dziecięce uszy przed jakimś sekretem, to zwykle tylko się sieje ziarno domysłów, z którego w mojej malutkiej główce wyrosły obrazy śmierci o wiele straszniejsze niż to, co w tym wieku mogłem oglądać w telewizji. Do tego stopnia, że bałem się wanny, której na szczęście i tak nie mieliśmy. Peggotowie mieli, a ja ją omijałem szerokim łukiem. Ale mama trzymała się twardo. O Copperheadowej mówiła tylko, że to stara, siwa jędza, Betsy jej na imię. Byłem rozczarowany, bo marzyła mi się przynajmniej Czarna Wdowa z zajebistą rudą czupryną. No bo była to w końcu jedyna krewna mojego ojca, którą mieliśmy szansę zobaczyć. Kiedy twój rodzic zejdzie z tego świata, zanim ty na niego przyjdiesz, to bywa, że za dużo życia poświęcasz na wpatrywanie się w tę czarną dziurę.

Ale mama dosyć już widziała. Żyła w strachu przed utratą prawa do opieki nade mną i na odwyku poszła na całość. Ja wyszedłem jej ze środka, a mama zamknęła się w ośrodku i dała z siebie sto procent. Potem przez lata tak raz po raz dawała, aż w końcu została ekspertką od odwyku, jak to mówią. Bo tyle razy go przechodziła.

Widzicie więc, że wersja mamy nie trzyma się kupy. Zjawia się jakaś pani (albo i nie), oferuje mi lepszy dom (albo i nie), a potem odchodzi po tym, jak (znając mamę) posłano w jej kierunku serię soczystych wyzwick, od których aż dzwoniło w uszach. Czy mama zmyśliła tę historię, żeby zrobić mnie w bambuko? Czy też może w jej zlasowanym mózgu była to prawda? Tak czy inaczej, nie miała wątpliwości, że ta pani przyszła uratować *małą dziewczynkę*. Nie mnie. Skoro to była bajka mamy: dlaczego akurat dziewczynkę? Czy tego naprawdę chciała, jakiegoś różowego pakunku, dzięki któremu wzięłaby się w garść? Tak jakby *mnie* nie można było popsuć?



## *Demon Copperhead*

Inna sprawa, drobnostka, że w tej historii mama ani razu nie wymieniła imienia mojego ojca. Kobieta to „wiedźma Woodall”, bo tak brzmiało nazwisko mojego taty, ale żadnej wzmianki o mężczyźnie, z którym mama zaliczyła wpadkę. Miała za to dużo do powiedzenia o nim w innych okolicznościach, kiedy przy drugim sześciopaku docierała do ostatniego etapu, czyli miłości i całej reszty. Do ich wspólnych przygód. Ale w tej historii, jeśli chodzi o moje istnienie, to on jest wyłącznie „złą decyzją”.

## 2

Mój zamysł jest taki, żeby ułożyć wszystko w kolejności, w jakiej się to wydarzyło, plus minus kilka przerw, kiedy to nasz młody bohater jest całkiem spizgany, więc niektóre kropki trzeba sobie samodzielnie połączyć. No ale cholera. To straszna rzecz być dzieciakiem, na nic nie masz wpływu. Jeśli to przetrwasz i dorośniesz, najłatwiej jest zapomnieć o niedoli i udawać, że przez cały czas wiedziało się, co się robi. Zakładając, że na koniec człowiek ma coś, z czego może być dumny. A jeśli nie, to łatwiej zapomnieć o całej sprawie. Zatem to będzie opcja trzecia – ani duma, ani zapomnienie. Niełatwa.

Pamiętam, że zawsze bardziej lubiłem przyglądać się rzeczom niż o nich rozmawiać. Miałem pytania. Mój problem stanowili ludzie. Myśleli, że dzieci nie są pełnoprawnymi istotami, więc nie trzeba im udzielać konkretnych odpowiedzi. Na przykład coś takiego. Peggotowie mieli na podwórku budę dla ptaków na słupie, masę tykw z wywierconymi otworami na wejścia. To była ptasia wersja tych przyczep, które się widuje, gdzie jakaś para założyła rodzinę i nikt, ani dzieci, ani wnuki, nigdy się nie wyprowadził. Po prostu tak sobie dalej razem mieszkają na kupie i sprowadzają kolejne przyczepy, ustawiają je na pustakach i żyją jako jedna wielka rodzina z tymi zagraconymi gankami i obszarpaną flagą nad pierwszą siedzibą. Jeden naród wiecznie pod kreską. Ptaszarnia Peggotów właśnie taka była, jeden wielki pierdolnik ptasich przyczep. Tyle że tam nigdy nie mieszkaly żadne ptaki. Miały mnóstwo gniazd na drzewach za domem albo budowały je w jakimś przypadkowym miejscu, na przykład pod maską ciężarówki pana Peggota. Dlaczego nie chciały wprowadzić się do gotowego domu, całkiem za darmo? Pan Peggot powiedział, że ptaki – jak wszyscy – lubią żyć po

swojemu. Stwierdził, że widział lokale komunalne, które kosztowały niewiele więcej niż ptasia budka i cieszyły się równie słabym wzięciem.

No dobra, ale po co to tam trzymać i patrzeć, jak pleśnieje? Maggot powiedział mi, że Humvee zrobił ten domek w szkole. Humvee to jeden z wujków Maggota, ostatnio widziany w pobliżu szkoły w czasach, kiedy na imprezach puszczało się Bee Geesów i Elvisa. Teraz mamy lata dziewięćdziesiąte. I co, Peggotowie ciągle trzymali tę wzgardzoną ptaszarnię na słupie, żeby pamiętać o synu? Nie kupowałem tego.

Peggotowie mieli w sumie siedmioro dzieci, z czego część mieszkała w tak dalekich miejscach jak Ocala na Florydzie, a część w odległości zaledwie kilometra. Niezliczone kuzynostwo kręciło się po tym domu jak stado na wpół oswojonych zwierząt z prawem do posiłku. Codziennie rozmawiano z każdym członkiem rodziny lub o każdym, z wyjątkiem dwojga: (1) mamy Maggota, (2) wujka Humvee. Pierwsza odsiaduje wyrok w Goochland, drugi nie żyje z przyczyn, o których się nie mówi.

Oprócz ptaszarni bez ptaków mieli też psi kojec bez psa. Pan Peggot polował z psami, zanim zrobił się na to zbyt zmęczony, jak wszyscy starsi mężczyźni, których znaliśmy, kiedy jeszcze mieli na to siły w płucach, a psom zostały jakieś lisy czy niedźwiedzie do gonienia. Jesienią zabierał nas do lasu na poszukiwanie żeń-szenia albo kopanie sasafrasu, bo ani jedno, ani drugie przed tobą nie ucieknie. Głównie jednak po to, żeby po prostu tam pobyc. Znał się na śpiewie ptaków tak, jak ludzie znają się na muzyce w radiu. Gdy dorosiliśmy na tyle, by móc obsługiwać strzelbę, czyli mieliśmy dziewięć czy dziesięć lat, pokazał nam, jak ustrzelić kozła i jak podwiesić tuszę na gałęzi drzewa nad podjazdem, by ją wypatroszyć, wypuszczając na żwir parujące wnętrzości. Pani Peggot gotowała pieczeń z dziczyzny w garnku. Jak człowiek jej nie spróbował, to było tak, jakby jeszcze nic w życiu nie jadł.

Pusty psi kojec stał między naszą przyczepą a domem Peggotów. Maggot i ja kładliśmy na nim plandekę i tam spaliśmy, przeważnie wtedy, gdy powalone drzewa zrywały linie i nie mogliśmy oglądać telewizji. Pewnego lata robiliśmy tak chyba przez miesiąc po tym, jak w trakcie wyzwania Nintendo Duck Hunt przypadkowo puściłem



\* **NAGRODA PULITZERA 2023**

\* **Laureatka Women's Prize for Fiction**

\* **Jedna z dziesięciu najlepszych książek 2022 roku  
według „New York Timesa”**

Demon Copperhead przychodzi na świat w starej przyczepie u podnóża Appalachów. Nie ma nic, poza odziedziczonymi po zmarłym ojcu rudymi włosami i urodą oraz zjadliwym dowcipem i niesamowitym darem przetrwania. W jego krwi buzuje przekazywany przez pokolenia gniew górniczych rodzin z Appalachów, zdradzonych przez państwo i przez elity. W tym świecie na Demona czekają tylko zaniedbane szkoły, opieka zastępcza, uzależnienia, zgubne miłości i druzgoczące straty. Ale w jego opowieści są też iskierka nadziei i humor, który skruszy nawet najtwardsze serca.

Czy ten niepokorny chłopiec to współczesne wcielenie dickensowskiego Davida Copperfielda? Barbara Kingsolver przenosi tę wiktoriańską powieść w realia współczesnego amerykańskiego Południa i posyła Demona w epicką podróż – również brutalną, co wspinałą.

I tak jak Charles Dickens wierzy, że dobrze opowiedziana historia może odmienić rzeczywistość.

**Demon Copperhead przemawia w imieniu nowego pokolenia zagubionych chłopców i tych wszystkich osób urodzonych w pięknych, choć przeklętych miejscach, których nie potrafią opuścić.**

**Taka powieść zdarza się raz na całe pokolenie –  
łamie serce, a potem naprawia je tak,  
jak potrafią tylko najlepsze historie.**

**cena 89,90 zł**

wydawnictwofilia.pl

ISBN 978-83-8357-017-4



9 788383 570174